

teatru „Cricot” u plastyków na Łobzowskiej. Opisywanie tego, co się działo na tych przedstawieniach, może się wydać jakaś rozpętaną fantazją (uczynił to Leon Kruczkowski w „Dzienniku Popularnym”, nr 170 z 1939 r.), więc niechże on opowie za mnie.

Przyjacielu serdeczny, oddaję Ci głos:

„Pewien krytyk warszawski pisząc o twórczości jednego z znanych współczesnych autorów powiedział, że w jego książkach «Rzecz góruje nad Sposobem». To zdanie przypomniało mi się, gdy w dniach ubiegłych dwukrotnie patrzyłem na krakowskie występy zespołu teatralnego «Gacaków».

W teatrze «Gacaków» «Rzecz góruje nad Sposobem». Czyli akurat tak samo jak w teatrze greckim, który był również, w najlepszym tego słowa znaczeniu, Teatrem Ludowym.

Teatr «Gacaków» nie chce (choć ma i takie ambicje) być tylko i wyłącznie warsztatem nowych form sztuki chłopskiej. Jego sposoby są proste, nie uganiają za karkołomnym efektem, wyrzekają się «tricków» i «smaczków», operują podstawowymi elementami teatralności oraz głębokim instynktem Przeżywania Fikcji, właściwym każdemu niemal człowiekowi.

A jego «Rzecz»?

Z tą «Rzeczą» rozmaicie bywa. Na przykład cenzor krakowski skreślił «Gacakom» z programu dwie pozycje o charakterze ideowym. Jedna z nich, utwór Zofii Solarzowej (i B. Dejworka — Z. S.) nosi tytuł «Zbuntowany cham». Rewolucyjność tego utworu nie jest jednak z gatunku tych, na które p.p. cenzorzy są zawodowo wrażliwi. Prowadzi ona stromą drogą do walki przeciw złu społecznemu, do walki ze złem w samym sobie, w samym człowieku.

Cenzor krakowski uznał widocznie, że idea walki o człowieka, o własną lepszosc byłaby dysonansem w atmosferze Dni Krakowa.

Ale nie dyskutujmy z cenzorem. Chodzi nam przecież o «Rzecz Gacaków». Otóż wydaje mi się, że nic nie mogłoby określić jej lepiej, jak właśnie idea owego — nie pokazanego nam niestety — utworu Solarzowej. Przebudowa ustroju nie uda się na pewno, jeśli nie stanie do niej garść przynajmniej przebudowanych ludzi. Przebudowanych nie tylko w zakresie światopoglądowym, ale — co również ważne — w samej, własnej architektonice wewnętrznej.

Nie zamierzam tu bawić się w recenzenta. Najbardziej istotne



czynniki działania teatru «Gacaków» na widza-słuchacza wymykają się spod zwykłych biurkowych miar i kryteriów sprawozdawczych.

Zapewne można by sporo napisać o pełnym artyzmie kompozycyjnym takiego klejnociku liryki chłopskiej jak inscenizacja piosenki: «Idziemy, idziemy», o przejmującej ekspresji plastycznej zakończenia «Kasi Jasiowej», starej, posępnej ballady wiejskiej, czy wreszcie najciekawszym formalnie, odrębnym eksperymencie Kasprowicza »Szajowskiego Ajzensztoka«.

Ale wszak nie tematy i formy (sposoby) stanowią o istocie sztuki teatru «Gacaków».

Jej sekret tkwi w samych ludziach, jej nowość — w nowiznie przemieniającej się duszy chłopskiej.

Teatr «Gacaków» nie jest teatrem zawodowym, ale nie jest też wcale teatrem amatorskim na dotychczasową modłę, to znaczy szmirawatym a pretensjonalnym naśladowaniem teatru zawodowego. Teatr «Gacaków» jest po prostu teatrem prawdziwym w znaczeniu takim jak teatr grecki, jak commedia dell'arte, jak teatr Szekspirowski. Jest wyzwaniem w ludziach — nie w aktorach — instynktu zbiorowego przeżywania i tworzenia piękna.

Znaczy to, że jest zarazem teatrem prawdziwie społecznym. Nie tylko przez tematykę społeczno-ideową, przed którą wcale nie stoi, lecz w której się wyłącznie zamyka, ile raczej przez społeczną, gromadzką istotę swojego artystu.

A teraz wyobraźcie sobie, że taki właśnie teatr na zakończenie swojej gościny w Krakowie dał ostatni, nadprogramowy występ — w kawiarni.

Co prawda w kawiarni plastyków, tej, która była przez szereg lat gniazdem rodowym warszawskiego już dziś teatru «Cricot» — no, ale która w każdym razie jest kawiarnią.

Przyznam się, że siedłem na ten niezwykle wieczór z uczuciem głębokiego niepokoju.

Dzisiaj widzę, że był to chyba — ze wszystkich dotychczasowych — najlepszy pomysł teatralizacyjny, jakaś zdumiewająca inspiracja godna wielkiego dramaturga.

Takie rzeczy mogą się zdarzać tylko raz, są — jak zrządzenie losu — absolutnie niepowtarzalne.

Zakładam, które urzekło atmosferę tego dziwnego wieczoru —



a bez którego mógłby on zostać w pamięci tylko jako przykre nieporozumienie — było przemówienie wstępne Solarzowej.

Takim językiem nikt chyba jeszcze nie mówił w żadnej kawiarni. Wierzcie mi, nie będzie przesadą, jeśli powiem, że duch «Wesela» musnął nas owego wieczoru niewidzialnym skrzydłem. Ale nie dziwcie się. Dzisiaj, gdy do Bronowic można już dojechać tramwajem, czyż chata bronowicka nie mogła się przenieść na wieczór pod żelbetonowy strop nowoczesnej kawiarni artystów? Tak było właśnie. Tłum «Gacaków» — młodzi chłopcy, dziewczęta w kolorach i wstążkach — stał na płytkiej «cricotowej» scenie, na tle surowej ściany, w ćmiącym świetle reflektorów, twarzą w twarz z czarnym mrokiem parnej, kawiarnianej sali — a w rampie, na granicy tych dwóch światów, Zofia Solarzowa zaklinała «chwilę osobliwą».

Na sali zaś? Na sali byli poeci, dziennikarze, rozmaici miastowi ludzie, pewnie i jaka «radczyni z Krakowa» — ba, nawet jeden karczmarz i sporo nowoczesnych Rachel...

Ale dość. Dość tego szalonego pędu kojarzącej wyobraźni. Trudno wyrazić wszystko, co pulsowało w atmosferze tego niepokojącego wieczoru. To było coś więcej niż tylko zetknięcie się dwóch światów. To było — podobnie jak w «Weselu» — starcie napowietrzne, z którego sypnęła się dziwna elektryczność. Żywe, rozpalone iskry.

To było jedno z tych prowokujących wydarzeń, z których mogą pójść «dymy po literaturze».

Czy i tym razem pójdą? Zobaczymy”.

Ufff... Bardzo jestem wzruszona. Czy to naprawdę było przeszło czterdzieści lat temu? Wydaje mi się, że tak niedawno...

Leon Kruczkowski zaraz po przedstawieniu wdał się w gorącą rozmowę z jakimś nie znanym mi panem i widział tylko ogólnie, co się działo w pobliżu „scenki”. W tłumie ludzi, którzy jak zawsze po występie, cisnęli się do nas, zobaczyłam nagle wyciągniętą ku sobie rękę i człowieka przepychającego się ku nam przez zwarty tłumek. Siwy, piękny pan. Po jego twarzy płynęły łzy. Wołał stłumionym przez wzruszenie głosem: „Za Szaję! Za Szaję!” Ucałował mnie. Popłakałam się i ja. Potem dowiedziałam się, że był to Żyd, rzeźbiarz ze Lwowa.